SKI.

Okrężne

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH.



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

Okrężne

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH

Józefa Korzeniowskiego.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY.

Panna Tekla Kaliniecka.
Szampelan Dalszycki, jej opiekun.
Feliks Dalszycki, syn szampelana.
Pani Erazmowa, siostra szampelana.
Klara, jej córka.
Pszeniczkiewicz, ekonom panny Tekli.
Kluczkowska, jej klucznica.
Organista.
Żydek, muzykant.
Kachna, dziewka ze wsi
Wojtek, parobek.
Stary Wieśniak.
Wieśniacy różnej płci i wieku. — Żydki muzykanci. Chłopcy ze szkółki.

Scena w Kalińcach, wsi panny Tekli.

AKT I.

Pokój bawialny w domu panny Tekli. Drzwi wchodowe w środku, boczne na lewo, okno na prawo, przy oknie na staludze obraz, na stole książki, nuty itd.

SCENA I.

Pani Erazmowa siedzi przy stole z robótką, wchodzi Kluczkowska z pękiem kluczów za pasem i z listem w ręku.

Pani Erazmowa.

Czy nie od mego brata?

Kluczkowska.

Tak jest, pani dobrodziejko. Umyślny przyniósł od pana szambelana.

Pani Erazmowa (przebiegłszy list.)

Prędzejże prędzej, Kluczkosiu! każ oczyścić jego pokoje.

Kluczkowska.

Więc pan szambelan przyjeżdża?

Pani Erazmowa.

Ale nie tylko on, moja kochana. Feliks przyjechał z zagranicy i zaraz tu będzie Każ także dla niego uprzątnąć narożny pokój.

Kluczkowska.

No! przyznam się pani, że się już rozporządziłam sama—i pokój ten czysty jak pudełko. Pozawczoraj śnił mi się pożar. Oho! myślę sobie, będą jacyś niespodziewani goście, i dalej ja do roboty: zmiatać, podłogę myć, łóżko urządzać! Ot! proszę pani, i na prawdę wyszło.

Pani Erazmowa.

To bardzo dobrze. Mój bratanek pierwej przyjedzie, niż mój brat — i tylko co go nie widać; — pisze mi brat, że go utrzymać w domu nie może.

Kluczkowska.

Eh! proszę pani, cóż to dziwnego? jadąc do takiej panny, jak nasza pani, może spieszyć.

Pani Erazmowa.

Żeby ją znał, toby jeszcze bardziej spieszył.

Kluczkowska.

A to nie zna, proszę pani?

Pani Erazmowa.

Tak dobrze, jak nie zna, moja Kluczkosiu. Widzieli się małemi dziećmi; ona wychowała się gdzieindziej — on gdzieindziej — przytem ze sześć lat siedział za granicą.

Kluczkowska.

I tak na pamięć się zaręczyli? bo nasza pani nosi jego pierścionek, to jużci i swój musiała mu posłać.

Pani Erazmowa.

A posłała,—nie dla formalnych zaręczyn, ale tak, na żądanie mego brata. Bo widzisz, moja Kluczkosiu, to dawny układ między ojcami, którzy byli przyjaciołmi i kochali się jak bracia. Dlatego to mój brat został opiekunem Tekluni, pokochał ją jak własne dziecię i niczego bardziej nie pragnie, jak żeby doprawdy dzieckiem jego była.

Kluczkowska.

Oj! któżby tego nie pragnął? taki anioł w ludzkiem ciele.

Pani Erazmowa.

Co to, to powiedziałaś prawdę. Takiej panny, z taką głową, z takiem sercem, z ta-

kim humorem wesołym, tak pragnącej, aby wszystko, co ją otacza, było wesołe i szczęśliwe, daleko naokoło nie znajdzie.

Kluczkowska.

Eh! proszę pani, choć i najdalej szukać, to nie znajdzie. Jaka ona dla nas sług, a jaka dla wieśniaków! — Co dzień prawie przychodzi to ten, to ów, dziękować to za to, to za owo. Poczciwi ludziska! nie umieją wypowiedzieć co czują. Ale jak czasem zawołają: "dziękujemy pani, niech panią pan Bóg błogosławi," to mnie aż płakać się chce, bo wyraźnie słyszę, że całem sercem dziękują, całą duszą błogosławią.

Pani Erazmowa.

Kto szczerze kocha, ten jest szczerze kochany, — tak zawsze bywa, moja Kluczkosiu!

Kluczkowska.

To prawda, wszyscy ją kochamy, i my i pani i panna Klara.

Pani Erazmowa.

Byłabym bardzo niewdzięczną, gdybym jej nie kochała. Bo cóż ja dla niej jestem? — nic. Żadnego pokrewieństwa, żadnej przyjaźni między nami nie było. Zubożała wdowa,

mieszkam tu u niej z moją Klarą, żeby nie była samą; a jak się ona ze mną obchodzi!— Szanuje mnie, jak matkę, a Klarę kocha, jak siostrę rodzoną. O moim bracie to już i nie mówię.

Kluczkowska.

No, powiem pani, jużby to było źle, gdyby nie miała szanować takiego opiekuna. I jak pan szambelan zagospodarował jej majątek? jak się rozbija za jej dobrem? sto razy więcej, niż za swojem. (skromnie) Ot i mnie tu przysłał do kluczów, proszę pani, choć ja i tam u niego potrzebna, bo wie, że ja nocy nie dośpię i wszystkiego dopatrzę. Żeby tylko pan Feliks miał rozum i nie wzdragał się: bo to może mu się tam gdzie w głowie zawróciło do jakiej Niemkini.

Pani Erazmowa.

Co też ty pleciesz, moja Kluczkosiu! Czyby on to zrobił? Choćby innych powodów nie było, już jako dobry syn wypełni wolę ojca. Dał tego dowód, poddawszy się jej zupełnie i prawie zaręczywszy z Teklunią na słowo ojcowskie.

Kluczkowska.

Daj Boże! daj Boże! Ale pójdę ja je-

szcze zobaczyć, żeby tam czego nie zabrakło, — czy i pan szambelan dziś przyjedzie?

Pani Erazmowa:

Może dziś, może jutro rano, bo ma tam kogoś w pilnym interesie, który musi skończyć.

Kluczkowska (śmiejąc się.)

A panicz czekać nie chce, — to dobry znak, chwała Bogu! — Ale gdzież to nasza pani? może jej powiedzieć, jakiego ma mieć gościa? Ja tam porządkowałam w śpiżarni,— te bestye myszy tyle mi szkody narobiły, — to i nie wiem, dokąd panny poszły. Pani nie wie? — posłałabym.

Pani Erazmowa.

Teklunia poszła z Klarą na wieś.

Kluczkowska.

A prawda, wiem, dziś żniwa się kończą, wszyscy w polu, ani jednej matki niema w domu, — oho! To już pani nie zostawi tak dzieci bez dozoru i opieki; i założyłabym się, że mi wszystkie bułeczki z szafy wybrały. Oj, te gospodynie! Goście na karku, a bułeczek nie będzie. — Co ja tu zrobię, jak narzeczony przyjedzie?

SCENA II.

Pani Erazmowa — Kluczkowska — Tekla i Klara wchodzą z kapeluszami w ręku, obie strudzone; Klara rzuca się na krzesło.

Tekla.

Jaki narzeczony?

Kluczkowska.

Eh! jużci nie mój — dowie się pani. A ja pójdę, żeby były bułeczki świeże, bo panny pewniuteńko wybrały wszystkie z szafy.

Tekla (kładąc obie ręce na jej ramieniu.)

Co do jednej, moja Kluczkosiu.

Kluczkowska (całując ją w rękę.)

To nic, to nic, dobra moja pani. Będą świeże dla tego gościa, co się dotąd spieszy. Nie darmo śnił mi się pożar. **(wychodzi).**

Tekla (siadając.)

Jakiż to gość, proszę pani? Kluczkosia ma jakąś szczególną minę.

Pani Erazmowa.

Zgadnij, domyśl się.

Klara.

Któż, mamo? wujaszek?

Pani Erazmowa (wstając.)

I wujaszek i jeszcze ktoś.

Klara (zrywa się, klaszcząc w ręce.)

Pan Feliks! doprawdy? O! kochany kuzynek będzie się miał odemnie z pyszna, że tak marudził za granicą, mając tu skarb taki.

Tekla (powstawszy.)

Więc doprawdy mój pan filozof przyjechał?

Pani Erazmowa.

Na, czytaj! **(daje jej list).**

Tekla (przebiega list, Klara oparta na jej ramieniu zagląda, po chwili Tekla czyta głośno)

"Spodziewam się, że go Teklunia znajdzie takim, jakim go jej opisałem. Ja przynajmniej nie wielką znajduję różnicę od tego, co sobie wyobrażałem—i mój pan syn dosyć mi się podoba. Wprawdzie zarwał on tej zwykłej im filozoficzno-niemieckiej gadaniny, wszakże i ja i Teklunia prędko go z tej choroby wyleczymy."

Klara.

A mnie to już ma wujaszek za nic; wezmę ja go także w obroty.

Tekla (po krótkiem czytaniu cichem; głośno)

"Rwie się do was, niecierpliwy, poznać swoją narzeczoną. Przeproś, siostro, że ją tak przed czasem nazywam. Ale Bóg widzi, że niczego bardziej nie pragnąłem i nie pragnę". **(mówi składając list)** Kochany mój opiekun. O! żeby to synek był do niego podobny!

Klara.

Kiedyż on przyjedzie, moja mamo?

Pani Erazmowa.

Ale tylko co go nie widać.

Klara.

Trzeba się więc ubrać — szczególniej tobie, Tekluniu! a my schodziłyśmy się tak, że nóg nie czuję. Taka to z niej zawzięta gospodyni!

Pani Erazmowa.

Co to, to prawda! Aż nadto, moja Tekluniu. To też i opaliłeś się tak bardzo.

Tekla (przed lustrem.)

Alboż mi tak źle? Patrzcie państwo, co

to za koloryt! co tu życia, co tu zdrowia! Nie wyglądam wcale, jak te lalki warszawskie, co to myślą tylko o stroju, o oknie i o ulicy, ale jak prawdziwa wiejska panna, która zna swoje obowiązki i pełni je.

Pani Erazmowa.

Nikt ci tego nie gani, moja droga Tekluniu! Wzięłaś się sama do gospodarstwa, do rządzenia swoim majątkiem: to bardzo chwalebnie, tylko i w dobrem nie należy przebierać miary. I ja, jako ciotka pana Feliksa, chciałabym, by na twojej ślicznej twarzyczce której słońce nie oszczędza cokolwiek białości i dla jego oczów zostało.

Tekla.

A czemuż nie przyjeżdżał w zimie, pókim była biała? Już więcej niż pół roku, jak mu posłałam pierścionek w zamian za ten oto, który mi z łaski swojej przysłał; ale widać, że woli chmurną i ciemną filozofię, niż mnie wesołą i jasną. Jeżeli mu się tak nie podobam, jak teraz jestem, niech sobie to przypisze i ma pretensyę do słońca, bo mnie nic do tego.

Pani Erazmowa.

Oprócz tego przez to gospodarstwo, w czemby cię mogli wyręczyć i ekonom i Kluczkowska, zarzuciłaś inne rzeczy. Książki leżą w zaniedbaniu — fortepian prawie ciągle zamknięty; nawet tego obrazu nie kończysz, który cię tak zajmował, i na którym wyobraziłaś tak ładnie scenę wiejską. Przynajmniej tę dziewczkę dokończ, która tak do ciebie podobna.

Tekla.

A! bój się pani Boga, gdzie ja teraz na to wszystko czas znajdę, kiedy miałam niedawno siano na głowie, a teraz mam żniwa. To wszystko będzie dobre później, w jesieni, w zimie, jak się załatwię, lub będę mogła wyręczyć mężem, jeżeli on wie, co to jest być gospodarzem i panem włości.

Klara.

Perorować o tem to pewnie umie! Pamiętasz ten list jego, na który się wujaszek tak gniewał, gdzie rozprawiał o stanowisku, z jakiego się zapatrywać należy na stosunek między panem i włościanami? Czy wiesz, Te-

kluniu? gdybym ja była na twojem miejscu, tobym mu wielkiego figla wypłatała.

Pani Erazmowa.

Już ty zawsze pierwsza jesteś do swawoli.

Tekla.

A ja nie? bardzo panią przepraszam, ja w tem nie pozwolę wyprzedzić się nikomu. Cóżbyś myślała? powiedz, Klarciu! — i mnie także chętka bierze, przyjąć go jakoś oryginalnie. Bo co to, proszę, za nudna będzie scena, jak on tu przyjedzie. On mnie nie zna, ani ja go nie znam; ale on ma być moim mężem. Już to samo da nam położenie niezmiernie przykre. — Cóż dopiero, gdy nastąpi rekomendacya! "Jestem ten i ten", powie; ja spuszczę oczy, zaczerwienię się i odpowiem. "Jestem ta i ta, — niech pan siada." A potem ani on nie będzie wiedział, co powiedzieć, ani ja, i będziemy tylko z pod oka na siebie poglądali i zaczniemy ważny akt wzajemnego podobania się sobie.

Klara.

Czy wiesz, Tekluniu? jabym nie wytrzymała, — jabym mu parsknęła ze śmiechu w oczy.

Tekla.

Naturalnie, że i ja nie inaczej zrobię.

Pani Erazmowa.

Zamiast pleść nie wiedzieć co, wolałybyście ogarnąć się trochę.

Tekla.

Doprawdy, droga pani, ja nie mogę go tak przyjąć po prostu. To będzie nudne śmieszne, — ani ja jemu się nie spodobam, ani on mnie, — takie rzeczy robią się znienacka, a chcieć z umysłu podobać się, to to samo, co postanowić sobie, prowadzić wesołą rozmowę. Zamiast śmiechu przychodzi wtenczas ziewanie i wykrzywia wszystkie gęby tak, iż brzydko patrzyć.

Klara.

Czy wiesz, Tekluniu, jaka myśl mi przychodzi? Wszak on nas obydwóch nie zna. Ciebie zapomniał,— bo cię widział dzieckiem, mnie nie widział wcale; gdybym też ja go przyjęła na twojem miejscu?

Pani Erazmowa.

Panno Klaro, bardzo proszę!

Tekla (biegnie do pani Erazm. i całuje ją.)

Moja droga pani! proszę się nie sprzeciwiać. To pomysł wyborny przyjmuję go, przyjmuję najzupełniej. Będę miała sposobność przypatrzyć mu się z boku i poznać trochę mego przyszłego pana i męża. Gdyby wiedział, że ma przed sobą swoją przyszłą dozgonną przyjaciółkę, schowałby się, jak ślimak do skorupy, i niczegobym nie dostrzegła. Wszakże pani pozwala, nieprawdaż? (**pani Erazmowa rusza ramionami**) A, pozwala, pozwala twoja dobra mama — i moja także!

Pani Erazmowa.

Róbcie sobie, swawolnice, co chcecie.

Tekla.

Tego niedość, droga pani, trzeba jeszcze do naszej koalicyi należeć. To nieprzyjaciel potężny, uzbrojony w cały zapas górnych frazesów, to zagranicznik, który już może przechodził przez ogień i wodę.

Pani Erazmowa.

No, dobrze, dobrze.

Tekla.

I pani nie zdradzi nas?

Pani Erazmowa.

Nie, nie zdradzę.

Tekla.

I nie podmówi nikogo do zdrady?

Pani Erazmowa.

Ale mówię, że nie.

Tekla (wyciągając rękę.)

Słowo honoru?

Pani Erazmowa.

No, słowo słowo. (**Tekla całuje ją w rękę.**) Ale jeżeli z ojcem przyjedzie?

Klara.

A prawda.

Tekla.

Ja w tej chwili wyprawiam list do szambelana i uprzedzam go o całym spisku. On się zgodzi i pomoże nam, jak go zaklnę. Tymczasem, moja panno Klaro, mianuję cię od tej chwili Teklą Kaliniecką, dziedziczką

Kaliniec, pupilką jaśnie wielmożnego szambelana Dalszyckiego i narzeczoną pana Feliksa Dalszyckiego, znakomitego filozofa, który z absolutnego stanowiska zapatruje się nawet na bifsztyk z kartoflami.

Klara (z powagą.)

Będę posłuszną, — ale długoż ja mam być tobą?

Tekla.

Do dalszego rozkazu.

Klara.

A cóż się z tobą stanie?

Tekla.

Ze mną? poczekaj — no, ja tymczasem zniknę z widowni i ze stanowiska, jakie sobie obiorę, obserwować będę swojego przyszłego małżonka.

Pani Erazmowa.

Słuchajno, Tekluniu, to niebezpieczna gra! — a jeżeli jemu Klara się spodoba?

Klara.

A prawda, prawda, jeżeli ja mu się spodobam?

Tekla.

Ha, to upadniecie do nóg mamie, potem ojcu, poszlecie po dyspensę i pobierzecie się.

Klara.

A ty?

Ja, — **(z powagą)** ja podam rękę swemu opiekunowi i będę waszą matką.

Pani Erazmowa (śmiejąc się.)

Oj, ty kochana swawolnico! na to on nie pozwoli.

Klara.

Ani ja! jabym cię miała w rękę całować? Nic z tego, wolę być twoją siostrą.

Tekla.

No, no, obaczymy jak to będzie, tylko teraz do dzieła! **(wchodzi ekonom)** A otóż i pan ekonom, jak gdyby na zawołanie. Dobrze że pan przyszedłeś, panie Pszeniczkiewicz; trzeba mi konnego posłańca. — Niech Michaś siada na konia i będzie gotów.

SCENA III.

Pani Erazmowa —Tekla—Klara — Ekonom.

Ekonom.

Dobrze, jasna pani. (chce iść).

Tekla.

Panie Pszeniczkiewicz! (ekonom wraca) Zapłacisz karę, już mówiłam, jak mnie będziesz nazywał jaśną panią. Teraz jestem ciemną panią, raz że się opaliłam, a potem wiesz, że mam być żoną niemieckiego filozofa.

Ekonom (śmiejąc się.)

Wolne żarty, pani, na djabła nam takiego, ja owszem słyszałem, że pani masz iść za pana Feliksa, syna naszego pana szambelana i że on ma tu za chwilkę przyjechać; przy tej tedy uroczystości chciałem, jak mi powinność moja każe, powinszować jasnej... to jest łaskawej pani.

Tekla.

Potem powinszujesz, panie Pszeniczkiewicz, a teraz idź, idź, i dawaj mi posłańca.

Ekonom (idzie ku drzwiom, skrobiąc się w głowę.)

Idę, idę.

Tekla.

Ale z czemże tu przyszedłeś, panie Pszeniczkiewicz? Może miałeś mi co innego powiedzieć?

Ekonom (wraca.)

Właśnie chciałem donieść pani, że skończyliśmy żniwa; możeby przy tej uroczystości...

Tekla.

Przy jakiej uroczystości?

Ekonom.

A jużci spodziewanego przyjazdu jaśnie wielmożnego pana, możeby ludziom sprawić okrężne?

Tekla.

Dobrze, dobrze, sprawić, i sute! Ja już myślałam o tem i wydałam już niektóre rozkazy Kluczkowskiej. Tylko, żeby muzyka była, panie Pszeniczkiewicz, i to koniecznie.

Ekonom.

Ach! to się rozumie. Byłem u arendarza, jak mi powinność moja każe, i kazałem mu sprowadzić z miasteczka żydków.

Tekla.

I będą?

Ekonom.

Będą! właśnie dziś, kiedy kończyłem śniadanie, jak mi powinność moja każe, dał mi znać arendarz, że będzie trzech.

Tekla.

To dobrze! (pomyślawszy) Tak, tak zrobię. (Głośno) Idźże pan teraz po posłańca i przychodź przez garderobę do mego pokoju; mam ci jeszcze wiele różnych dać dyspozycyi.

Ekonom.

Natychmiast spieszę.

Tekla.

A potem względem okrężnego rozmów się z Kluczkowską. (figlarnie) Tylko powiedz jej, niech cię wprzód poczęstuje; ma doskonałą anyżówkę.

Ekonom.

Oh! powiem, jak mi powinność moja każe. (wychodzi).

Klara.

O tem pewnie nie zapomni.

Tekla.

Teraz spieszę do pisania. Ale cicho! jakieś klaskanie z bicza...

Klara.

To pewnie on. (biegną obie do okna, pani erazmowa za niemi) Cicho, już turkot słychać! jedzie, jedzie!

Tekla (patrzy z zajęciem w okno.)

Patrz, Klarciu! doprawdy, że przystojny. Jak zgrabnie wyskoczył z koczyka; a wiesz, że nie ma wcale pedanckiej miny.

Klara.

Mamo! on do wujaszka podobny.

Pani Erazmowa.

Prawda, przypomina.

Tekla.

I bardzo. O! tem lepiej. Jak uprzejmie wita się z ekonomem; jest jakiś staropolski wdzięk i szczerość w jego uśmiechu i twarzy. Jeżeli i serce staropolskiem zostało, to i reszta się znajdzie. (przypatruje się).

Pani Erazmowa.

Zamyśliłaś się? to może obejdzie się już bez figla i Klarci miejsca swego nie ustąpisz?

Tekla.

O nie, nie — i owszem. Tem bardziej teraz chcę poznać go, niepoznana. Pójdźmy, Klarciu, poinformuję cię i nauczę twojej roli.

Klara.

Nie potrzeba, mam już swój plan; ale pójdźmy.

Tekla (odchodząc.)

Pani droga tylko sekret, a ludziom ja przykażę sama.

Pani Erazmowa.

Szczęśliwy mój bratanek, że mu się taki skarb dostanie. Byle tylko był jej godnym.

SCENA IV.

Pani Erazmowa, (wchodzą) Ekonom, Feliks,

Ekonom (we drzwiach).

Pani dobrodziejko! syn jaśnie wielmożnego szambelana, jak mi powinność moja każe. (wychodzi.)

Feliks (przystępując, całuje jej rękę.)

Więc to moja kochana ciotka.

Pani Erazmowa.

Ja, ja, mój drogi Feliksie!

Feliks.

Co to za szczęście, po tylu latach; (przypatruje się) ale nigdybym cioci nie poznał.

Pani Erazmowa.

Wierzę. Jeszcześ na drewnianym koniu jeździł, kiedym za mąż poszła i zamieszkała w Galicyi. Odtąd nie widziałam cię, mój dro-

gi Feliksie; zmieniliśmy się oboje, i jabym cię nie poznała. Tyś wyrósł, zmężniał, a ja się zestarzałam.

Feliks.

Ale gdzież to moja kuzyneczka?—gdzież to Klarcia? wszakże Klarcia, droga ciociu?

Pani Erazmowa.

Tak się nazywa moja córka.

Feliks.

Gdzież ona jest? radbym ją prędzej poznać.

Pani Erazmowa.

Moja córka, (na stronie) tylko co się nie zdradziłam. (głośno) Moja córka wyjechała w sąsiedztwo, zapewne jutro wróci. — Ale nie pytasz się o gospodynią tego domu? Czy ci niepilno ją poznać?

Feliks.

Gdzie tam niepilno, owszem — niecierpliwiłem się, rwałem z domu, tak gorąco pragnąłem obaczyć tę, której już pierścień no-

szę, nie znając jej wcale. Ale gdy już dojeżdżałem dotąd, jakiś mnie niepokój ogarnął, i przyznam się cioci, iż jestem niezmiernie zadowolony, że jej tutaj niema w tej chwili; trochę obędę się, zbiore myśli. Bo doprawdy i pragnę ją widzieć i boję się.

Pani Erazmowa.

Nie aprobowałżebyś chęci twego ojca?

Feliks.

I owszem, i owszem, wszystkie poboczne okoliczności składają się dobrze. — Panna młoda, słyszałem, że pięknie edukokana, musi być i niebrzydka — chociaż jej nic a nic nie pamiętam. Ale któż wie, jak ja się jej wydam, — jak ona mnie się wyda. Może idea, jaką sobie o niej wyrobiłem, nie skrystalizuje się w jej osobie...

Pani Erazmowa.

Ach, mój Feliksie! tylko ze mną mów po prostu, bo cię nie rozumiem.

Feliks.

To jest, mówiąc po prostu, może się sobie nie spodobamy. — A w takim razie było-

by mi bardzo przykro; bo widzi ciocia, ja zapatruję się na małżeństwo ze stanowiska...

Pani Erazmowa.

Już, z jakiego chcesz, zapatruj się stanowiska na to małżeństwo, a nie zapominaj jak bardzo ojciec sobie życzy, żeby przyszło do skutku. I ty także będziesz tego pragnął, jak ją poznasz. Oprócz wdzięków, gruntownej dobroci serca, najstaranniejszej edukacyi, panna Tekla ma jeszcze talenta, mogące uprzyjemnić życie. Gra prześlicznie.

Feliks (przerzucając nuty).

Widzę, że tu leżą najpiękniejsze utwory, i dosyć trudne. To mi bardzo miło; — ja lubię muzykę.

Pani Erazmowa.

A jak maluje!

Feliks.

Doprawdy? to jeszcze lepiej, i ja maluję i cenię bardzo wysoko tę sztukę. **(idzie do obrazu)** Czy to robota panny Tekli?

Pani Erazmowa.

I jej układ.

Feliks (przypatrując się.)

Ładnie, bardzo ładnie! Jaka dobra grupa, jaki świetny dobór barw! jak cudnie umieszczona ta prześliczna dzieweczka z konewką; jak widać, że się jej nie chce iść po wodę.— Co to za wyraz w tej twarzy! czy to nie portret? bo nadzwyczajnie wiele natury.

Pani Erazmowa.

Zgadłeś, ale nie na tem koniec. Zajmuje się ona jeszcze i poważniejszemi rzeczami! Patrz, jaki to dobór dzieł! a w wielu miejscach znajdziesz jej ołówek i uwagi trafne i prawie nad jej wiek, a wszystko to jej nie przeszkadza być najlepszą gospodynią.

Feliks (przerzucając książkę.)

To ostatnie, to mnie trochę przeraża, moja ciociu, jeżeli jest gospodynią taką, jak się u nas zwykle ta idea bierze, i jak przechodzi do realności. U nas dobry gospodarz ten, kto uporniej stoi przy dawnem, kto nie chce ani kroku naprzód postąpić z wiekiem i wejrzeć ze stanowiska filozoficznego.

Pani Erazmowa.

No, no dajno pokój tym teoryom. Ja cię

upewniam, że ona cię nauczy, jak kochać i cenić tych ludzi, którzy część swojej pracy i nam udzielają. **(wchodzi Klara w rannym czepeczku, chustką przewiązana, z pękiem kluczy.)**

SCENA V.

Pani Erazmowa — Feliks — Klara.

Klara (kłania się dość niedbale i rubasznie.)

Zapewne pan Feliks.

Feliks (do ciotki.)
Więc to panna Tekla? **(ciotka potwierdza znakiem — na stronie)** O do djabła, wyobrażałem ją sobie daleko ładniejszą.

Pani Erazmowa (do Feliksa.)
Przywitajże ją. **(Feliks kłania się)** Kochana Tekluniu, przedstawiam ci syna mego brata. Wiesz, jak mój brat byłby szczęśliwym gdyby ci się pan Feliks podobał, gdybyś go znalazła takim, jakim ci go opisał.

Klara.
No, zupełnie takim...

Feliks (prędko).
Bardzom pani wdzięczny.

Klara.
A za cóżeś mi pan wdzięczny, kiedy chciałam powiedzieć, że sobie więcej wyobrażałam?

Feliks (na stronie).
Przynajmniej nie krępuje się.

Klara.
Ale to tak zapewne z drogi została jeszcze panu obca sztywność. Jak pan się z nami obędziesz, to może lepiej mi się wydasz. **(rzuca klucze na krzesło.)**

Feliks (na stronie.)
Co tu na to odpowiedzieć? — a jaki pęk kluczy!

Pani Erazmowa (do Klary.)
Ale fe! dajesz mu o Tekluni najgorsze wyobrażenie, Klarciu.

Klara (do matki).
Nic mamo, nic — to tak z planu. **(głośno)** Czego się pan nauczyłeś tam za granicą

przez tyle lat? zapewneś pan, tak, jak i inni bąki zbijał, kamizelki i halsztuki kupował, za kulisy wdzierał się, do wód jeździł, może goniąc jaką mężatkę i durząc ojca, że jedzie słuchać ciekawych semestrów. I teraz przyjechałeś pan mydlić nam oczy filozoficznemi frazesami, których tam nałowiłeś.

Pani Erazmowa (na stronie).

Co za waryatka!

Feliks (na stronie).

Ale to można zgłupieć doprawdy — śliczne przywitanie!

Klara (siadając.)

Cóż? pan nie odpowiadasz? przecież choć tyle grzeczności winieneś pan był nauczyć się z tej zagranicznej edukacyi, że należy odpowiedzieć kobiecie, kiedy do pana mówi.

Feliks (na stronie).

To djabeł jakiś, nie kobieta. (głośno) Przyznam się pani, że tu bardzo trudno odpowiedzieć.

Klara.

I nie dziw, bo to wszystko prawda, co powiedziałam. — Nie wiem jak dalece się to

stosuje do pana — ale powinno się stosować; bo ilu tylko znam tych zagranicznych mędrków, wszyscy na jedno kopyto. Ale siądźże pan! cóż pan tak stoisz jak student jaki?

Feliks (bierze kapelusz).

Bo też powiem pani, że jest od czego zgłupieć. (do ciotki) O, moja ciociu, ja stąd drapnę natychmiast i ojca się nie doczekam.

Pani Erazmowa.

Dajże pokój — rozpatrz no się lepiej. (na stronie) Cóż to za szalona dziewczyna!

(wychodzi.)

Klara.

Otóż widzisz pan, i to niegrzecznie, że tam coś szeptałeś z ciotką; — kiedy kto ma co rozumnego powiedzieć, to mówi głośno. Pan zapewne mówiłeś, że masz ochotę ze mną się żenić, i nie wiesz, jak tu przystąpić do oświadczenia, żeby to było uczenie i filozoficznie. Ze mną, kochany panie, trzeba po prostu.

Feliks.

O! co to, to widzę.

Klara (wzruszając ramionami.)

Ale co pan widzisz? pan nic nie widzisz; ja panu ręczę, że tu panu ciemno, jak w rogu. Gdybyś pan co widział, tobyś wiedział, co powiedzieć. Bo jużci nie sądzę, żebyś nie umiał się znaleźć, przepędziwszy tyle lat za granicą i wyprowadziwszy ojcu tyle pieniędzy z kieszeni.

Feliks (na stronie).

A, to już rzecz upokarzająca. Trzeba się odcinać, nim się urwę i ucieknę.

Klara.

Ja zaraz pana przekonam, że pan tu niewiele widzisz. Powiedz mi pan, za kogo mnie masz? już z miny i z giestów pana widzę, że sam nie wiesz, co o mnie myśleć. Panu się zdaje, żem zła, gadatliwa, kapryśna, nieuległa. Cóż pan tak kiwasz głową, jak gdybyś potwierdzał to, co mówię?

Feliks (z ironią.)

Nie śmiem zaprzeczyć.

Klara.

Powiedz pan raczej, że nie śmiesz potwierdzić, a chciałbyś potwierdzić, takiego na-

byłeś przekonania. A tymczasem, widzisz pan to wszystko nieprawda.

Feliks (kłania się.)

Ponieważ pani tak mówisz.

Klara (powstając.)

Panu zdaje się, żem tak sobie szlachcianeczka wiejska, która nic nie widziała, nic nie umie, tylko cały dzień kluczami dzwoni. Pan znowu kiwasz głową, jak gdybyś potwierdzał. Otóż widzisz pan, to znowu nieprawda. Patrz pan, jak się panu podoba ta grupa wiej ska, ten staruszek, ta kobieta, a szczególnie ta dziewczyna?

Feliks.

Dziewczyna cudna.

Klara.

A prawda, że cudna, bardzo cudna.

Feliks.

Już to widziałem i podziwiałem; (**na stro nie**) przynajmniej dla siebie nie żałuje pochwały.

Klara.

Otóż to moja robota i kompozycya. Koloryt, rysunek, rzut światła i cieniów, wszyst-

ko nie tak złe, jakbyś pan myślał, pan, który byłeś za granicą i dlatego już na swoje patrzeć nie chcesz.

Feliks.

Ale któż pani powiedział, że ja tak myślę? i owszem!

Klara.

Bo panowie tak zwykle myślicie. Jak który przeleci wagonem przez Niemcy, chlipnie wody z Renu, zakatarzy się na której górze szwajcarskiej, przywiezie na surduciku trochę kurzawy z jakiego obrazu Tycyana lub Tintoreta, to już patrzy na nas z góry, odyma wargi i gardzi wszystkiem swojem.

Feliks.

Ale zmiłuj się pani... (na stronie) A to jakieś oryginalne stworzenie.

Klara.

Pan może także myślisz, że nie umiem po francusku? Bo to panowie nie wszyscy umiecie po francusku, chociaż wszyscy umiecie się popisywać tym językiem, dlatego że macie więcej próżności od nas.

Feliks (uśmiechając się.)

Czy wie pani, że takiego kazania nie spodziewałem się usłyszeć?

Klara.

O! bardzo wierzę. Pan myślałeś sobie jadąc do mnie byłem tyle lat za granicą, widziałem tyle okien różnych uniwrsytetów, tyle drzwi rozmaitych akademii, byłem w Eger, w Marienbadzie nawet byłem w Gefenbergu, wywrę na niej ogromne wrażenie, zadziwię, zachwycę. A tymczasem, widzi pan, ani się zadziwiłam, ani zachwyciłam. I owszem, powiadam panu wręcz, że mi się niebardzo spodobałeś.

Feliks (żywo).

A ponieważ tedy pani wprowadziłaś mnie sama na tę drogę otwartości, to i ja powiem pani wręcz, że mi się niebardzo spodobałaś. Dałem wprawdzie słowo memu ojcu, że będę się starał uzyskać względy pani i od układów jego nie odbiegnę, ale widze, że mi to będzie niepodobnem. Mój ojciec opisał mi panią inaczej, niżeli panią zastałem.

Klara.

Więc pan mnie znajdujesz nieładną.

Feliks.

O! tego nie mówię.

Klara.

Ograniczoną?

Feliks.

Wcale nie, i owszem widzę, że pani masz wiele rozumu.

Klara.

Cóż tedy, złą?

Feliks.

Złośliwą, tak — ale złą — tego jeszcze nie wiem, na to trzeba czasu.

Klara.

To pewnie gadatliwą.

Feliks.

Za prędko mówiącą, to prawda — ale nie gadatliwą; — gadatliwym jest ten, który paple nie do rzeczy — a u pani tego nie spostrzegłem.

Klara.

Więc bez wykształcenia?

Feliks.

O tem także sądzić nie mogę. Widzę tu piękne malowidło, nuty wyborne, książek do-

bór wcale zajmujący. Być więc może, że pani odebrałaś staranne wychowanie.

Klara.

Cóż wreszcie? niegrzeczną? zbyt prawdomówną? czy tak?

Feliks.

Przyznam się pani, że ten sposób, jakim mnie pani przyjęłaś, czy on jest manierą pani naturalną, czy udaniem umyślnem, aby mnie odstręczyć, nie mógł mnie ująć ani oczarować.

Klara.

Więc pan, filozof, takim jesteś miłośnikiem prawdy i otwartości?— Więc gdybym była pana przyjęła gładziutko, pozwoliła panu pleść duby smalone o zagranicy, wszystkiemu uwierzyła, podziwiała pana wszystkie dodatki i kompozycye pana stwierdzała głośnem: ach! proszę! jak to tam cudnie! quel pays, mon Dieu! que c'est beau! tobyś pan mnie był pokochał, byłbyś się oczarował — przyznam się panu, że lepsze miałam wyobrażenie o pańskiej filozofii.

Feliks.

Ale co tu filozofia ma do czynienia? bez filozofii widzę, że to stanowisko...

Klara.

A, a, dobrze, że mi pan przypomniałeś. Proszę też pana, z jakiego stanowiska spoglądasz pan na mnie teraz?

Feliks (z niecierpliwością.)

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to spoglądam na panią z najgłupszego stanowiska w świecie, na którem mnie mój ojciec postawił.

Klara.

O! jeżeli tak, to wytłomaczże się pan przed swoim ojcem, a ja pana formalnie nie chcę.

Feliks (porywa za kapelusz.)

Tłomaczenie krótkie— ja pani także najformalniej nie chcę — i żegnam panią.

Klara.

O! za pozwoleniem! możemy się nie chcieć jako narzeczeni, ale nie jako sąsiedzi. Pan zostaniesz u mnie na okrężnem, doczekasz się tu swego ojca i wytłomaczysz mu swoje powody, tak żeby go nie zmartwić i nie od razu

zniszczyć tę jego myśl, którą on powziął od dawna. Tego ja sobie życzę i o to pana proszę bo ojca pańskiego bardzo szanuję i kocham. A teraz przepraszam, że trzeba mi wyjść do gospodarstwa. Zabaw się pan tu chwilkę, nim wrócę. Oto masz pan Getego, masz Jana Pawła, masz Bajrona—a także niektóre polskie książki, których pan pewniuteńko nie znasz. (**kłania się**) Au revoir, monsier le philosophe! (**wybiega, wziąwszy klucze.**)

Feliks (sam.)

Co to za szczególny djabełek! nie rozumiem, czy to udanie, czy to swawola, czy to prawda? ale bądź co bądź, to żona nie dla mnie. Cobym robił z takim oryginałem? Winienbym rozpocząć jej edukacyę, żeby ją postawić na tem stanowisku; (**przypatruje się obrazowi**) i to z pod ręki takiej klucznicy wyszło tak cudne stworzenie. (**wchodzi Tekla ubrana jak wiejska dziewczyna, z konewką w ręku.**)

SCENA VI.

Feliks — Tekla.

Tekla (z uśmiechem.)

Przypatruje się; — żebym też mu się podobała! (**chrząka**).

Feliks (na stronie).

A to co? jakaż to ładna dzieweczka? **(spogląda na nią i na obraz)** Ale co za podobieństwo! **(głośno)** Czego chcesz, moje dziecię?

Tekla.

E, proszę pana, ja myślałam, że tu pani jest, ale widać, jej tu niema! to ja sobie pójdę.

Feliks (zbiża się.)

Poczekaj, poczekaj, kochanko! pani zaraz przyjdzie. **(na stronie)** Śliczna, jak róża.

Tekla.

Przyjdzie? o, pan sobie tak mówi, że przyjdzie. A może nie, to ja próżno będę czekała.

Feliks.

Ale mówię ci, że przyjdzie. **(na stronie)** Co za wdzięk w tej prostocie! jak żyję, nic podobnego nie widziałem. **(głośno)** Cóż ty masz za interes do pani?

Tekla.

E, proszę pana, to wedle onego malunku kazała mi pani przyjńść, żeby tak z konewką stać, jak tam ona dziewucha stoi. **(śmieje się)** Pani ze mnie maluje, proszę jegomości.

Feliks.

I doskonale cię pani odmalowała, **(bierze jej rękę)** bo też nie mogła znaleźć ładniejszego modelu.

Tekla.

O! czyż to ja taka przysadkowata, jak mondel? Co też jegomość za głustwo powiedział.

Feliks (puszcza jej rękę.)

Szkoda, że taka ograniczona. **(głośno)** Więc to tutejsza jesteś, dzieweczko?

Tekla.

A jużci, że tutejsza. Bartoszowa wnuczka — a jegomości na co to?

Feliks.

Tak chciałem się dowiedzieć, zkąd tu taka śliczna dziewczyna. **(chce ją głaskać, ona odpycha jego rękę).**

Tekla.

O! co bo jegomość robi? albo to jegomość nie może tak z daleka na mnie patrzyć? Mnie to wszyscy mówią, żem śliczna, ale żaden nie bierze tak pod brodę — kto to widział? — raz jeno Wojtek chciał mnie tak pogłaskać, alem go trzasnęła w papę, że mu się iskry z oczu posypały.

Feliks (odstępuje na stronę.)

Ha! do djabła! jaki gbur dziewka! **(przypatruje się)** A co za szkoda! miły Boże! żeby to okrzesać, coby to było!

Tekla.

E, jegomość tam coś sobie gada pod nosem, a pani nie przychodzi. **(bierze konewkę)** Już pono malunku dzisiaj nie będzie — to ja sobie pójdę.

Feliks.

Nie idź, nie idź, obaczysz, że pani przyjdzie.

Tekla.

A jak jegomość łże—a nie przyjńdzie? **(sromając się)** a ja tu z jegomością sama jedna gadam, jakby kto obaczył, toby sobie Bóg nie wie co pomyślał.

Feliks.

A cóżby pomyślał, moja miła?

Tekla.

O, jeszcze jakby posłyszał, że mnie jegomość nazywa: moja miła; ej dalibóg, ja już sobie pójńdę.

Feliks (bierze jej rękę.)

Czyż ci tak przykro ze mną gadać?

Tekla.

E, bo ni, tylko...

Feliks.

Tylko co?

Tekla.

Tylko jakbym ja długo z jegomością gadała, tobym może chciała znowu pogadać. — Coby wtenczas było z Wojtkiem?

Feliks.

Co tam Wojtek! **(przyciska jej rękę)** Moja ty droga!

Tekla.

Oj, kiedy jegomość tak mi rękę ciśnie.

Feliks.

Masz bo taką śliczną rączkę, jak gdybyś nic nie robiła.

Tekla.

Ej, gdzie zaś nie robiła? tylko com przyszła od sierpa. I dlatego, że mi pani kazała przyjńść do onego malunku. A jak jegomość śmiesznie patrzy na moją rękę, jakby chciał obaczyć, czy niema na niej pierścionka. **(pokazuje mu rękę)** O, niema nic, — albo to ja zaręczona, czy co?

Feliks.

Więc Wojtek tak tylko z daleka na ciebie spogląda?

Tekla.

A jużci z daleka — niechnoby przyszedł z bliska, toby dostał. **(pokazuje policzek)**. . .

Feliks (na stronie.)

Znowu — co to za szkoda, **(spogląda)** napatrzyć się na nią nie można. **(głośno)** Jakże się nazywasz, moja droga?

Tekla (z kokieteryą.)

A na co to jegomości?

Feliks.

Żebym wiedział, jak cię nazywać.

Tekla (figlarnie).

Alboż i tak już jegomość mnie nie nazywa moja miła! moja droga!

Feliks.

Boś bardzo miła i droga — ale jeszcze jak będę znał twoje imię...

Tekla.

A jakie? co na chrzcie świętym jegomość chce?

Feliks.

Co na chrzcie świętym.

Tekla.

Nazywam się Rózia; aha! widzi jegomość jakie śliczne imię!

Feliks (chwyta obie jej ręce.)

Śliczne, śliczne, jak ty sama, umiesz ty czytać, moja Róziu?

Tekla (odstępując).

Eh! albo to ja głupia? — co też jegomość gada? a mnie to na co?

Feliks (na stronie).

Otóż to przeklęta ciemnota, takie cudne stworzenie! taka perła w śmieciu —to są właściwie grzechy naszego żywota.

Tekla.

Już, widzę, jegomości sprzykrzyło się ze mną gadać! Jegomość tam sobie pomrukuje, jak kot na przypiecku—pani niema—to ja już sobie pójńdę.

Feliks.

A tobie, nie sprzykrzyło się?

Tekla.

A jużci, że nie. Jegomość taki, jakby to powiedzieć... ładniejszy od naszego pana

wójta, który mnie także gada, żem ja śliczna; (przypatruje się) bo nawet i Wojtek nie umył się do jegomości.

Feliks.

Więc i tobie tak miło zemną jak mnie z tobą?

Tekla.

A jużci tak.

Feliks.

I kochałabyć mnie, moja ty droga Róziu?

Tekla (śmiejąc się.)

E, jaki jegomość śmieszny, że takie głupstwa gada; alboż to jak komu miło z kim pogadać, to zaraz brać się do kochania? Dalibóg, że ja pójńdę, powiem to pani, toż to będzie się śmiała.

Feliks (zatrzymuje ją.)

Ale fe! Róziu! któż takie rzeczy rozgaduje? czy to co złego, żebyś mnie kochała?

Tekla.

A jekżebym ja jegomości mogła kochać bez księdza? Aj, aj! żebym to ja Wojtkowi powiedziała, toby jegomości dobrze boki kijem wygrzmocił. (z umizgiem) Ale nie bój

się, jegomość, ja nie taka, nie powiem nikomu; boby mi było żal, żeby się z jegomości wszyscy we dworze śmiali.

Feliks.

Moja ty miluchna Róziu! z ciebie wielka filutka.

Tekla.

Aha, albo to źle?

Feliks.

Nie, nie będzie źle, tylko pocałuj mnie. (chce ją całować.)

Tekla (odskakując.)

Gwałtu!

Feliks.

No, cicho, cicho! idź już sobie, ktoś nadchodzi. (na stronie) O, tobym wpadł;—a oderwać od niej oczu nie mogę.

Tekla.

Aha, jak się jegomość zląkł! No już nie będę krzyczała, tylko mnie jegomość nie całuj; — a kiedy to już jegomości tak koniecznie miło, to mnie jegomość pocałuj,ale w rękę.

Feliks.

Z ochotą, moja droga, nawet cię w rękę pocałuję. (bierze jej rękę, ona z początku wzdraga się, potem wreszcie pozwala—Feliks całuje jej rękę.)

Tekla (odskakuje—bierze konewkę).

Aha! co teraz, to powiem w całej wsi, że tam przyjechał jakiś taki śmieszny pan, co chłopkę chce kochać i w rękę całuje. **(wybiega, śmiejąc się.)**

Feliks (sam.)

A tu, widzę, jakieś gniazdo na djablice! Co za filutka, proszę! a co za cudne stworzenie! jaka to twarzyczka! jakie oczy, jaki uśmiech, co za rączka—doprawdy, że nic podobnego nie widziałem: w głowie mi się miesza —rozumu, figli, kokieteryi pełno. Gdyby tu edukacya, **(patrzy na obraz)** śliczna, śliczna! —ale bardzo ładna! — i ja miałbym się żenić z tamtą? O, sługa uniżony, za nic! **(po chwili)** Ha! żeby tak gdzie ustronny domeczek — jakaś ładna pasieka... **(słucha)** Ktoś przyjechał, **(idzie do okna)** to mój ojciec, chwała Bogu, wyzwolę się jakoś z tej biedy. **(porywa za kapelusz i wychodzi).**

AKT II.

Przy tylnej i głębokiej kurtynie, naśladującej ogród, stoją stoły zastawione. — Z lewej strony wystawa domu z drzwiami, przed nią stoją krzesła.

SCENA I.

Szambelan z fajką —**Tekla** w bluzie— **Klara.**

Szambelan.

Jak wy z tej swawoli wybrniecie, to nie wiem doprawdy.

Klara.

Już niech się wujaszek nie turbuje, tylko proszę nas nie zdradzać. Szkodaby takiego początku; — żeby wujaszek był widział jego minę wczoraj, jak mu cięłam słowa prawdy, niby siekierą.

Tekla.

A jak się skrzywił, kiedy wśród najtkliwszych jego spojrzeń wyrwałam się z jakiem prawdziwie chłopskiem wyrażeniem; — jakby go kto zimną wodą był oblał.

Szambelan.

Słyszałem, słyszałem — ładnieście go przyjęły — biedny chłopiec! i mnie staremu łączyć się z takiemi swawolnicami, żeby go dręczyć.

Klara.

Ale za to, mój wujaszku, jaki szczęśliwy bedzie potem.

Szambelan.

Tak, jak się dowie, że zadrwiłyście sobie z niego.

Klara (cicho do szambelana.)

Tekluni nie żartem się spodobał.

Szambelan (uradowany.)

Seryo?

Klara (cicho.)

Ale bardzo seryo.

Tekla.

Co ona mówi?

Szambelan (do Tekli.)

O! jeżeli to prawda, co mi powiedziała, to chętnie zgodzę się trzymać z wami i podręczyć jeszcze przez dziś mojego chłopaka.

Tekla.

Oh! już ja domyślam się, co ona mówiła; (grożąc Klarze) poczekaj!

Szambelan (bierze jej rękę.)

Tekluniu, i to prawda?

Tekla.

Podobno, mój drogi opiekunie!

Szambelan (ściska ją).

Tóż róbcie z nim co chcecie, ja wasz — pomagać wam będę obydwiema rękami.

Klara (klaszcząc w ręce.)

Brawo! wszystko pójdzie dobrze! i powinszowania i egzamin.

Szambelan.

A toż znowu co?

Klara.

A, obaczy wujaszek! Co to nas kosztowało, żeby wszystkich przypuścić do tajemnicy i żeby się tajmnica utrzymała.

Szambelan.

Tak, le secret de la comedie!

Klara.

A jednak i dla wujaszka będą niespodzienki, jak tego zdrowa krytyka wymaga.

Szambelan.

Ale gdzież to Feliks? nie widziałem go cały ranek.

Klara.

Wczoraj cały wieczór nie spuszczał oka z obrazu i przypatrywał się portretowi Tekluni. — A dziś proszę sobie wyobrazić, chodził po wsi cały ranek, od chaty do chaty, wszędzie zaglądał i szukał.

Szambelan.

Kogo?

Tekla (skromnie.)

A jużci szukał Rózi, proszę jegomości!

Szambelan.

Ładnież to wystawiać jego filantropię na pokuszenie?

Tekla.

I kompromitować to stanowisko filozoficzne, z którego itd., itd. Ale proszę patrzeć! idzie z głową schyloną, — pogrążony w myślach, zapewne nic nie wyszukał. O żadnej Rózi w całej wsi ani słychu. Ale pójdźmy, Klarciu! trzeba mi się wystroić, żebym była jeszcze ładniejszą, niż wczoraj.

Klara.

A ja do gospodarstwa; — adieu, wujaszku!

Szambelan (bierze rękę Tekli.)

A ty jak mi powiesz?

Tekla.

Do widzenia, drogi...

Szambelan.

Cóż? ojcze?

Tekla.

A cóż mam robić — niech i tak będzie. (wybiega).

SCENA II.

Szambelan—Feliks, (wchodzi Feliks zwolna,) z głową nachyloną — z założonemi rękami— szambelan siedzi i paląc fajkę, uśmiecha się).

Szambelan.

Zkądże to wracasz, mój synu?

Feliks (podnosi głowę i zdejmuje kapelusz.)

A, to ty, mój ojcze!

Szambelan.

Gdzie byłeś? — unikasz nas.

Feliks.

Tak przechadzałem się bez celu.

Szambelan.

Bez celu?

Feliks.

To jest, niezupełnie bez celu i owszem chodząc, przypatrywałem się stanowi tej włości, uprawie gruntów, ogrodów i różne z tego względu przychodziły mi uwagi.

Szambelan.

Uwagi? proszę! ale te uwagi chyba były niezbyt wesołe, bo masz coś minę kwaśną i zakłopotaną — co zwłaszcza w twojem położeniu i w miejscu, gdzie się znajdujesz, nie jest rzeczą zupełnie stosowną.— Narzeczony powinien mieć inną minę i fantazyę.

Feliks.

Już ci przekładałem, mój ojcze, prosząc, abyś mnie uwolnił i od tego zobowiązania i od tej nazwy.

Szambelan.

Ależ pozwól sobie powiedzieć, że to głupstwo i dziwactwo z twojej strony.

Feliks.

Gdybyś był świadkiem, kochany ojcze, jak mnie przyjęła, tobyś tego nie nazywał dziwactwem; jakaś taka dziwna maniera, jak żyję, nic podobnego nie widziałem. Taka śmiałość obcesowa w pannie do mężczyzny, któremu się miała podobać! — nie, mój ojcze, to nie dla mnie.

Szambelan.

Cóż tak szczególnego? mówiła prawdę wam wszystkim, adresując ją do ciebie.

Feliks.

Może są tacy, którzy na te prawdy zasługują; jednak to w jej ustach i do mnie było największą niestosownością.

Szambelan (powstając.)

Uchodzisz ją uchodzisz! nie taka ona dzika, jak się zdaje.

Feliks.

Dziękuję! mam rozpocząć jej edukacyę; któż mi zaręczy, że się ta edukacya uda? Z takim charakterem kobieta! jeszcze mnie zawojuje jak nic. Słowa mi nie pozwoliła wymówić.

Szambelan.

Ale niegłupia, co?

Feliks.

Tem gorzej, że ma rozum, kiedy ten rozum wziął jakiś dziwny kierunek. Tnie tak w oczy, co myśli, jak siekierą.

Szambelan.

A cóż to złego? będziesz zawsze wiedział co myśli.

Feliks.

Cóż mi stąd, kiedy to jakieś twarde, nieujęte, ekscentryczne? Bóg wie z jakiego stanowiska patrzy na stosunek między mężem i żoną. Nie rozumiem, kochany ojcze, jak tego nie zmiarkowałeś, że tam słodyczy, dobroci, łagodności charakteru niema i za trzy grosze.

Szambelan.

At! to nieprawda! tak ci się wydała; jeszcze jej nie poznałeś. Rozpatrzno się lepiej.

Feliks.

Doprawdy nie mogę się tak ryzykować. **(zdejmuje pierścionek)** I bądź łaskaw, drogi ojcze, oddaj jej ten pierścionek, a mój odbierz. Na słowo twoje, o dwieście mil, zrobiłem niby to zaręczyny z osobą nieznajomą, i teraz żałuję, że się tak związałem. A prócz tego ona mi wyraźnie powiedziała, że mnie nie chce.

Szambelan.

A mnie mówiła, że się jej podobałeś.

Feliks (żywiej.)

Upadam do nóg! ale ona wcale mnie się nie podobała.

Szambelan (seryo.)

Słuchajno! robiłem dotąd wszystko, co chciałeś; dawałem ci pieniędzy, ile chciałeś; nie widziałem cię ze sześć lat, aby dogodzić twojej fantazyi wałęsania się za granicą. A ty teraz od pierwszego razu niweczysz moje najdroższe zamysły!

Feliks.

Chciałbym im z duszy dogodzić, ale cóż kiedy mnie coś od niej odpycha; przytem ja z innego stanowiska...

Szambelan (żywiej.)

Dajże mi u djabła pokój z tem stanowiskiem. To jakieś obce stanowisko. Jabym chciał, abyś na swoje obowiązki względem mnie spojrzał z naszego polskiego stanowiska i był posłusznym. — Rozumiesz, panie filozofie? Że mu panna powiedziała słowa prawdy takie, jakieby każda powinna nam wypowiadać, to już zaraz go coś odpycha. Czy nie ciągnie co tam panicza gdzieindziej? he? czerwienisz się? co to jest? zaraz proszę mi powiedzieć.

Feliks.

Ale wierz mi, kochany ojcze, że nic zu-

pełnie; że dotąd przyjechałem z sercem najobojętniejszem, niczem i nigdzie nie zajętem. Ale ten sposób kozacki, z jakim mnie panna Tekla przyjęła...

Szambelan.

Głupstwo, mówię ci! obaczysz, co to za poczciwa, dobra, nieoceniona panna. Jakie wychowanie! co tam nauki, zdolności.

Feliks.

Być to może, ale nie wiem prawdziwie, gdzie się te wszystkie przymioty podziały, gdy ze mną mówiła, ja widziałem tylko niegłupią wprawdzie, ale bardzo niegrzeczną rubaszność.

Szambelan.

Rozpatrz się lepiej; zabawimy tu dni kilka. Jeżeli ten wstręt trwać będzie ciągle, ha! to zobaczymy. Ale tak raptownie proszę mi jednego kroku nie robić, bo mnie tem obrazisz, a co większa zmartwisz.

Feliks (z niecierpliwością).

Jak ojciec każe; ale wiem, że się to na

nic nie zda; przytem ona mnie unika, chowa się przedemną.

Szambelan.

A ona mi mówiła, że ty jej unikasz; sam to uważałem, że cały wieczór wczoraj tylko na ten obraz wytrzeszczałeś oczy.

Feliks (ruszając ramionami.)

Kiedy ani słowa do mnie nie mówiła.

Szambelan.

Bo byłeś zamyślony, milczący. A cały ranek dziś czegoś po wsi chodziłeś i zaglądałeś do wszystkich chat; znowu się czerwienisz

Feliks.

Bynajmniej, kochany ojcze! (na stronie) Djabli nadali! żebym ją był przynamniej znalazł. (głośno) Ale któż ci to mówił, ojcze, że zaglądałem?

Szambelan.

Panna Tekla mi mówiła, i to z takim uśmiechem jakby się domyślała dlaczego.

Feliks (na stronie.)

Czy jej ten djabełek nie wypaplał? A tobym wlazł w kabałę.

Szambelan.

I wszystkich to uderzyło. Ekonom mówił mi także, toż samo i Kluczkowska. No, przechadzka po wsi, to rzecz zwyczajna, ale to zaglądanie do wszystkich chat, to już nie wiem, w jakim mogło być celu.

Feliks.

Miałem cel filantropijny, mój ojcze.

Szambelan.

A! to co innego, zapewne dla jakich uwag?

Feliks (z powagą.)

Tyle lat nie byłem w kraju. Oko moje przywykło do widoku zamożności ludu wiejskiego i chciałem porównać, jaki też u nas postęp zrobiono w tej mierze i czy rzeczywiście jest postęp. I dlatego to chodziłem od chaty do chaty, wypytując slę o szczegóły ich życia, ich zamożności, ich pracy. **(żywiej)** Bo czas już mój ojcze abyśmy i my zastanowili się cokolwiek nad długiem ogromnym, jaki za upłynione wieki wypłacić mamy tej najużyteczniejszej części społeczności abyśmy

z wyższego stanowiska spojrzeli na stosunek między panem a włościaninem i aby ta idea jednakowego człowieczeństwa we wszystkich która gdzie indziej już dawno się skrystalizowała i u nas także była czemś realnem.

Szambelan (na stonie.)

Łże panicz filozoficznie. **(głośno)** Dobrze to jest. Rozumiem cię trochę, choć zaczynasz bredzić po obcemu i pochwalam twoje filantropijne zamiary. Jednak to zastanawia, że przez ten tydzień w domu ani razu nie zajrzałeś na wieś, i ani do jednej chałupy wiejskiej nie zaglądałeś.

Feliks (na stronie)

Oto się złapałem **(głośno)** Tak, to prawda, ale powiem ci, kochany ojcze, bałem się, żeby ci jaką uwagą nie zrobić przykrości.

Szambelan.

Aha, to dlatego? a tu?

Feliks.

Tu co innego, tu szukałem...

Szambelan.

A! tu szukałeś, tak, szukałeś; ale cicho!

nadchodzą.—Uprzedzam cię, że każdym grymasem nieprzyzwoitym bardzo mnie rozgniewasz.

Feliks (odchodząc na bok do siebie).

Otóż to stare uprzedzenia, te nieszczęśliwe dawne układy. Mogę tu paść ofiarą, jak nic. I jeżeli jeszcze nie odszukam Rózi, o której mi nikt nie umiał ani słowa powiedzieć to doprawdy że zwątpić mi przyjdzie.

SCENA III.

Szambelan — Feliks — (wchodzą) pani Erazmowa i Klara.

Szambelan.

Gdzieżeście panie były?

Pani Erazmowa.

Każda przy swojej robocie, kochany bracie.

Klara.

A ja przygotowałam wszystko na przyjęcie naszych gości. Bo to dla mnie goście najdrożsi. Chciałabym, żeby im było wesoło

i żeby się dobrze uraczyli. Wyobraź sobie, szambelanie, że kazałam zabić dobrego cielaka, kilka baranów, gęsi kilkanaście i moc prosiąt. (spogląda na Feliksa) Szczególnie prosięta będą doskonałe. Właśnie tam pilnowałam, żeby się dobrze przyrumieniły. (do Feliksa) Czegóż się pan krzywisz? prosięta zapewne nie figurują w waszych perorach o bycie i szczęściu włościan. Wy, moi panowie, w takie szczegóły nie wchodzicie, tylko tak z ogólnego stanowiska umiecie o tem rozprawiać.

Feliks (zżyma się.)

Otóż znowu zaczyna.

Klara.

A jakby przyszło rzeczywiście zajrzeć w ich byt, w ich potrzeby, w ich myśli i wyobrażenia, i skierować je do pracy, do pilności, do ścisłego wypełniania obowiązków, tobyście tego nie potrafili; to już dla was za nizkie. Wasza rzecz siedzieć na wygodnej kanapie w szlafroku, w ładnej krymce z kutasem i z fajką w gębie, filozofować i skręcać głowy biednym ludziom, którzy tego nie mogą zmiar-

kować, że w tych hasłach naszych gruntu mało, a zdrowego zastanowienia się nad położeniem kraju niema ani za trzy grosze.

Feliks (do ojca.)

Niechże się teraz ojciec przysłucha; oto jest próbka mojego przywitania.

Szambelan.

A cóż? to bardzo naturalne.

Feliks.

A, jeżeli tu państwo takie rzeczy znajdujecie naturalnemi, to sługa uniżony.

Szambelan.

Wszystko, co powiedziałaś, kochana Tekluniu, jest wielką prawdą, ale do niego się to nie stosuje. Wiesz przecież, jak troskliwie chodził dziś po wsi i wglądał w te szczegóły, o których mówiłaś. Jeżeliś ciekawa może ci nawet udzielić ważnych uwag.

Klara (ironicznie.)

I cóż pan odkryłeś?

Feliks (na stronie).

To już nie do wytrzymania. **(głośno)** Nic nie odkryłem i owszem znalazłem...

Klara (przerywając.)

Daj pan pokój, podobno pan nie znalazłeś.

Szambelan (śmiejąc się).

Tak i ja myślę.

Feliks (z niecierpliwością.)

Wolno pani mówić, co się podoba. Jesteś pani kobietą i panią tego domu, ale...

Szambelan (bierze go na bok, seryo)

Feliksie! co to jest?

Feliks (do ojca.)

Kochany ojcze, oddaj jej ten pierścionek, bo ja go sam oddam i może nie tak grzecznie, jakbym sobie życzył.

Szambelan.

Ani mi się waż!

SCENA IV.

Szambelan — Feliks — Klara Pani Erazmowa—(wchodzi) **Ekonom.**

Klara.

A toż i goście nasi zaczynają się zbierać. Prosimy, panie Pszeniczkiewicz, prosimy.

Ekonom.

Już z wieńcami idą, pani dobrodziejko i cała wieś niedaleko. Ja wyprzedziłem swoją komendę, bo chciałem, jak mi powinność moja każe, przy tej, to jest uroczystości.

Klara (przechodząc mimo ekonoma.)

Pal mu pan, pal oracyą. **(idzie do stołów z matką i tam przypatrują się.)**

Ekonom (do Feliksa.)

I to właśnie do jaśnie wielmożnego pana chciałem mowę swoją skierować.

Feliks.

Do mnie? a toż zkąd?

Ekonom (kłaniając się.)

Z powinszowaniem, jaśnie wielmożny panie, jak mi powinność moja każe i przy tej to jest uroczystości, gdy się zbliża chwila takiego postanowienia jaśnie wielmożnego pana...

Feliks.

Daj mi tam asan pokój, żadna się chwila nie zbliża.

Ekonom (kłaniając się.)

I owszem, jaśnie wielmożny panie, bliża się, a to przy szczęśliwem zaręczeniu jaśnie wielmożnego pana z naszą oto kochaną panią.

Szambelan (zatrzymuje Feliksa.)

Ale słuchajże-go! — panna Tekla patrzy.

Feliks.

To niech patrzy, ojcze! to doprawdy nie do wytrzymania.

Ekonom (kłaniając się.)

Ja więc, jak mi powinność moja każe, przy tej to uroczystości przemawiam nie swoim głosem. Ale co się tyczy życzenia szczęścia, pomyślności i długiego życia w parze jaśnie wielmożnemu państwu, przy obdarzeniu licznem potomstwem, to jest wszystko moje, tak, jak mi powinność moja każe i jak w dniu tak uroczystym jest do spełnienia, jaśnie wielmożny panie!

Szambelan.

Dziękuję ci, panie Pszeniczkiewicz, imieniem mego syna. Widzisz, jak jest wzruszony i nie może ci sam odpowiedzieć.

Feliks (na stronie).

Tu oczywiście żartują sobie ze mnie. **(idzie na prawą stronę, stamtąd wychodzi organista a za nim gromada chłopców ze szkółki, którzy okrążają Feliksa wieńcem zielonym, organista całuje go w ramię)** Kto asan jesteś i czego chcesz?

SCENA V.

Szambelan — Feliks — Pani Erazmowa — Klara — Ekonom — Organista.

Organista.

Organista tutejszej parafii, jaśnie wielmożny panie! przełożony tych oto dziateczek. Związać, dzieci! zwiążcie jaśnie wielmożnego pana tym wieńcem, nim go szczęście zwiąże i krzyczcie wiwat! **(ciszej do dzieci)** Krzyczcie, osły!

Dzieci.

Wiwat!

Feliks (cofając się)

A to dom waryatów.

Organista (stojąc w pozycyi.)

Obyś w najdłuższe lata panował!
Te są życzenia tych drobnych dzieci.

Jak cię zielony sznur ten skrępował,
Niech cię tak hymen weźmie w swe sieci!

Krzyczcie, dzieci! Veni Creator! **(dzieci wrzeszczą)** Veni Creator! **(Feliks wyskakuje z pośród wieńca i idzie w głąb, organista zabiega mu drogę i całuje w ramię)**

Organista.

Może na uczczenie tej uroczystości jaśnie wielmożny pan pozwoli mały examen zrobić? dobrze, jaśnie wielmożny panie? **(do dzieci)** Stańcie w ordynku! tak, no uważać— z arytmetyki — z czego, osły?

Dzieci.

Z arytmetyki.

Organista.

Ile jest grzechów śmiertelnych?

Szambelan.

Dość już, dość, panie Dudziński. Mój syn dziękuje. **(organista kłania się, do Feliksa)** Podziękujże im.

Feliks.

Za to, że mi uszy rozkrzyczeli i winszują mi tego, co nie będzie i czego ja nie chcę.

Szambelan.

To nieprawda — chcesz i będzie.

Feliks.

Przyznam ci się, mój ojcze, że to szczególnego rodzaju tyrania. (**słychać muzykę za sceną**) A toż jeszcze co? oj! jak fałszywie! od tych radości wiejskich można rozum postradać.

SCENA VI.

Szambelan—Feliks—Pani Erazmowa —Klara —Ekonom. Organista—Żydki (wchodzą żydki, jeden ze skrzypką, drugi z klarnetem, trzeci z basetlą, zbliżają się prędko do Feliksa, którego im ekonom wskazuje i kłaniają się jermułkami.)

Żydki (razem.)

Winszujemy, winszujemy jaśnie wielmożnemu panu!

Feliks.

Czego wy chcecie? idźcie sobie do djabła!

Żydek (ze skrzypkami.)

Jak to czego chcemy? kto tego nie wie? aj waj! kto tego nie wie, że jaśnie wielmożny pan zaręczy się dzisiaj z naszą panią? ach! co to za pani! jaki jaśnie wielmożny pan będzie szczęśliwy! aj! aj! jaki szczęśliwy. Nu, niechże ono tak będzie i niechże Pan Bóg da sto lat i całą kopę dzieciów, a takich ślicznych jak jaśnie wielmożny pan, a takich rozumnych,jak jaśnie wielmożna pani. (**do kolegów**) Nu! szpil-że na wiwat! (**grają marsza.**)

(Muzyka nr. 1.)

Szambelan.

Dosyć dosyć, potem zagracie więcej.

Żydki (przestają).

Nu, nich będzie potem, co to ma do tego? (**kłaniają się i idą na bok.**)

Feliks.

Proszę państwa! czy to są żarty? czy tu niema nikogo, któryby mnie od tych prześladowań uwolnił? Jeżeli się to nie skończy, to ja ucieknę, mój ojcze.(**słychać śpiew za sceną**)

Szambelan.

Ależ to okrężne, mój kochany.

Klara.

Słyszysz pan te śpiewy? spodziewam się, że pan zaraz będziesz cierpliwszym i nie pogardzisz uroczystością wiejską. (**Kluczkowska przynosi na tacy rozmaite podarunki dla włościan, wianki, wstążki, czepki, pasy itp.**)

SCENA VII.

Szambelan— Feliks — Pani Erazmowa — Klara — Ekonom—Organista — Żydki—Kluczkowska.

Kluczkowska.

A już idę, proszę pani, podarki dla nich tu postawić.

Klara.

Postaw to, Kluczkosiu, tu koło mnie i nie odchodź. **(Kluczkowska stawia na stoliku za krzesełkami stojącym)** A potem bacz, czy wszystko jest na stołach i zachęcaj kobiety, żeby jadły. Panie Pszeniczkiewicz! dopilnujże wieśniaków, żeby się ugościli i nie żałujcie sobie.

Ekonom.

Tak zrobię, jaśnie wielmożna pani, jak mi powinność moja każe.

SCENA VIII.

Szambelan. Feliks—Pani Erazmowa —Klara —Ekonom — Organista—Żydki—Kluczkowska — Kachna — Tekla—Wieśniacy. (ekonom idzie ku stołom w głąb; wchodzą wie-

śniacy, na czele Tekla, z wieńcem pszenicy na głowie, obok niej Kachna z wieńcem żyta.)

Feliks (na stronie.)

Ach! to ona!

Pani Erazmowa (do brata.)

A jak jej też ładnie!

Śpiew nr. 2.

Chór męski.

A u naszej pani złocisty podwórzec,
Z tegorocznych zbiorów będzie złota korzec.

Chór kobiet.

A u naszej pani stoi lipa w polu,
Nie bywa tam nigdy w pszenicy kąkolu.

Chór męski.

A do naszej pani przyjechał pan młody,
Ona jemu rada, prosi nas na gody.

Chór kobiet.

A z nim nasza pani do stołu zasiędzie,
Odda mu wianeczek i kochać go będzie.

Chór cały.

Nasza dobra pani okrężne nam sprawi,
Niechże młodej parze Pan Bóg błogosłwi!

Szambelan.

Jakżeż, czy cię to nie zajmuje?

Feliks (roztargniony, poglądając na Teklę, która się do niego uśmiecha.)

I owszem, mój ojcze! i owszem, bardzo mnie to zajmuje. (z **uniesieniem**) Ten poczciwy i pracowity lud zawsze mnie zajmował.

Szambelan (ironicznie.)

O! widzi pani! ja mówiłem, że go to zajmie.

Klara (z uśmiechem.)

Tegom była także pewna.

Feliks (na stronie.)

Jakim oni to tonem mówią?

Stary wieśniak (przystępuje, prowadząc dwa dziewczęta z wiankami.)

Najładniejsze z całej wsi dziewuchy przynoszą wam, państwo, co Pan Bóg dał najlepszego, a z niemi: oto żyto, a to pszenica. Co na waszem polu urodziło się, a co my potem swoim zlali i rękami swemi zebrali niech wystarczy dla was i dla nas.

Klara.

Dziękuje wam dobrzy ludzie! wystarczy, bądźcie pewni.

Śpiew nr. 3.

Kachna (zdejmuje wieniec i śpiewa.)

Oj, na szerokiem polu
Żyto się złociło

Czyste, bez kąkolu,
Aż popatrzeć miło.
My je sierpem ścięli,
Powiązali w snopy,
Teraz ścierń się bieli
I czernieją kopy.
I to dobro wasze
W wianku wam przynosim,
A za trudy nasze
O okrężne prosim.

Chór.

A za trudy nasze
O okrężne prosim.

(Kachna składa wianek na kolanach Klary, która jej nakłada wianek z bławatków na głowę z mnóstwem wstążek. Dziewczyna uradowana całuje ją w rękę i odbiega, chwaląc się przed towarzyszkami. Klara oddaje wieniec z żyta stojącej za nią Kluczkowskiej.)

Tekla (zdejmuje swój wianek.)

A to, proszę pani, jeszcze lepszy wianek bo to pszenica czysta, jak sama pani, a dorodna, jak ten oto jegomość, co to podobno ma być naszym panem, niech Pan Bóg da zdrowie i z pszenicy ładne bułeczki. A teraz, proszę pani, niech go pani sobie weźmie, bo bardzo ciężki.

Feliks (na stronie.)

Sprytna — i widać to jakieś rozpieszczone i śmiałe do wszystkich.

Klara (biorą wieniec).

Dziękuję ci, moje dziecię; pięknaś sama, jak róża; naści tę różyczkę do gorsu i ten wianeczek na głowę; chowałam go dla ciebie umyślnie, on lżejszy od tamtego. **(nakłada jej wianek z róż na głowę).**

Tekla.

Ślicnie dziękuję pani — ładneć to, prawda, ładne, ale cóż, kiedy to prędko zwiędnie. **(do Feliksa) Nieprawdaż, mój jegomość?)**

Szambelan.

Czy się znacie, że ona tak śmiało do ciebie mówi?

Feliks (zakłopotany.)

Nie, nie, tak... nie zdarzyło mi się. **(na stronie)** Co za kokietka dziewczyna.

Klara (powstaje a z nią wszyscy.)

Dziękuję wam, dziekuję, moje dzieci, i proszę, co Pan Bóg dał, przyjmijcie na pamiątkę tego dnia, który będziemy zawsze obchodzili, bo on dla mnie podwójnie miły. **(dzie pomiędzy wieśniaków z matką. Kluczkowska za nią z tacą i rozdaje podarunki.)**

Szambelan (do Feliksa.)

Podziękujże, to wyraźnie przecież. **(idzie także między wieśniaków, wita się z nimi i rozmawia.)**

Feliks (do siebie.)

Co mi tam! **(odchodzi na stronę i zbliża się do Tekli, która stała z boku)** A ty, Róziu, nie zaśpiewałaś, oddając swój wieniec?

Tekla.

E, nie umię, proszę jegomości. **(nuci)**
Nie umię ja śpiewać, bom się nie uczyła
Bo mnie pani matka do roboty biła.

Feliks (oglądając się.)

Ale tańcować będziesz? co?

Tekla.

Ni także nie umię, proszę pana.

Feliks.

Nieprawda, droga Róziu, chyba nie chcesz.

Tekla.

Aha, zgadł jegomość. **(filuterniej i ciszej)** Ja wolę z jegomością pogadać, jak Wojtek pójdzie w taniec.

Feliks (ciszej).

Szukałem cię cały ranek, droga Róziu, nigdzie znaleźć nie mogąc.

Tekla.

E, nie trzeba było szukać, bo może być bieda.

Feliks (oglądając się.)

Moja ty złota Rózieczko.

Tekla.

Tobym była ładna, żebym była złota; co też to jegomość za głupstwo powiedział. Alboć to mi tak niedobrze, żem nie złota, tylko rumiana i młoda?

Feliks.

Ale doskonale ci tak, moja najmilsza. (**na stronie**) To są czary, doprawdy ja ją kocham.

Tekla (patrząc mu miło w oczy.)

Kiedyż bo jegomość już i kłamie gdzie zaś ja, jegomościna najmilsza!

Feliks.

Nie kłamię, Róziu, nie! Gdybym mógł gdzie spotkać cię samą, żeby ci wszystko powiedzieć.

Tekla.

E, do czego to, proszę jegomości? Jakby Wojtuś obaczył, toby jegomości boki wyłatał.

Feliks.

To powiedz przynajmniej, żebyś chciała mnie gdzie obaczyć.

Tekla (z umizgiem).

A jużcić, żebym bardzo chciała.

Feliks.

Dajże mi tę różyczkę, miła Róziu, na pamiątkę.

Tekla (oddając.)

A cóż jegomość mnie da?

Feliks (nakłada jej nieznacznie pierścionek na palec.)

Ja cię kocham, droga Róziu!

Tekla (poglądając na pierścień, na stronie.)

Mój własny pierścionek, a to doskonale. (odbiega.)

Szambelan (który się zbliżył, kładzie rękę na ramieniu Feliksa).

Cóż to za dyskurs i taki długi, z tą dziewczyną?

Feliks (pomieszany.)

Ja, mój ojcze? tak rozmawiałem...

Szambelan.

Ale to widzieliśmy wszyscy, lecz o czemże taka rozmowa?

Feliks.

Zajmujące sworzenie — wypytywałem się o jej rodziców, o jej zajęcie. Sierota! bie-

daczka! a pędzą ją do ciężkiej pracy. Co to za bezwzględność na siły, na wiek, — otóż to skutek dawnych zbutwiałych urządzeń, w których tylko zyskuje egoizm jednej strony.

Szambelan.

Hm, czy to ściskając za rękę tę dziewczynę, zrobiłeś te uwagi?

Feliks.

Czyż mamy wiecznie dąć się nie wiedzieć czem, i odróżniać tak, jak gdybyśmy byli jakiemiś innemi istotami? Jeżeli z nią mówiłem łaskawiej i poufalej się obszedłem, cóż to złego? Ja z innego stanowiska patrzę na ten stan szanowny i przynajmniej w dniu dzisiajszym przystoi nam popularność i zmieszanie się z tym ludem.

Szambelan.

Zgadzam się z tem zupełnie, tylkobym wolał, abyś się zmieszał tam z tymi zacnymi rolnikami, a nie z ładną dziewczyną, bo to może zwrócić uwagę i dać im o tobie złe pojęcie. Tem bardziej, że tu twoja narzeczona.

Feliks.

Ojcze! na miłość Boską, nie dręcz mnie tą narzeczoną, ona nigdy nią nie będzie.

Szambelan.

Obaczymy, obaczymy; — proszę tam iść natychmiast.

Klara.

Teraz, moi kochani, siadajcie za stół—jedzcie, pijcie! zasłużyliście na to.

Starzy wieśniacy.

Dziękujewa dobrej pani. **(siadają.)**

Pani Erazmowa.

No, matki, siadajcie tu, i ja z wami.

Kobiety.

Dziękujewa, pójdziem;—niech Pan Bóg da zdrowie. **(siadają.)**

Szambelan.

A no, a wy, chłopaki? cóż tak stoicie?

Wojtek występuje i kłania się szambelanowi.

Proszę jegomości, mybyśmy pierwej pośpiewali i z onemi dziewuchami, co tam na nas zerkają, potańcowali, jeśli łaska wielmożnego państwa pozwolić.

Dobrze i owszem—śpiewajcie, tańcujcie, bawcie się, jak się wam podoba, to wasz dzień. Panie ekonomie, każ przygotować wódki i zbliżyć się żydkom, niech grają. **(chłopcy i dziewki stają prędko naprzeciw siebie rzędem, Wojtek z brzegu śpiewa.)**

Śpiew nr. 4.

Wojtek.

Hej tam, panie ekonomie,
Piwa wódki daj,
A ty, żydzie, stań na stronie
I mazura graj.
Hej, dana, dana, dana,
I mazura graj.

(przechodzą raz hołubcem w około i znowu stają i tak za każdą zwrotką.)

Pracowaliśmy od rana,
Z czoła pot się lał,
Teraz przyśliśwa do pana,
By zapłatę dał.
Hej, dana, dana, dana,
Bóg zapłatę dał. (tańczą.)
Nasz sierp zżął mu kłosów dosyć,
Złota dobył pług,
Może cienkie sukna nosić,
I mieć dużo sług.
Hej, dana, dana, dana,
I mieć dużo sług.
Niechże za stół nas posadzi,
Każe wódki lać,
I muzykę nam sprowadzi,
Dyć go na to stać,

Hej, dana, dana dana itd.
Hej, chłopaki, hej, dziewczęta,
Nie zły i nasz stan,
Nikt o biedzie nie pamięta,
Kiedy dobry pan.
Hej, dana, dana dana itd.
Nuże, żwawo do mazura,
Daj mi rączkę, daj!
Niechże do mnie przyjdzie która,
A ty, żydzie, graj!
Hej, dana, dana dana,
A ty, żydzie, graj!

(Tańczą przez niejaki czas mazura; — wśród tańców i śpiewania Feliks starał się przybliżyć do Tekli, która nie znajdowała się między dziewczętami, ale mu szambelan zawsze przeszkadzał, co go niecierpliwiło. Nareszcie gdy się huczny mazur zaczął i szambelan zagadał się niby z siostrą i Klarą, Feliks wymknął się i zbliżył do Tekli — ona go przyjęła z umizgiem — chwilkę z sobą rozmawiali z boku, potem usuwają się nieznacznie, znikli w ogrodzie.)

Wojtek.

Teraz dosyć — dziekujewa państwu — pójdziewa jeść i pić. (odchodzą za stoły.)

Klara.

Wujaszku, wujaszku! patrz, już ich niema.

Szambelan.

Uważałem ja, jak filozoficznie drapnął do dziewczyny.

Pani Erazmowa.

Ależ bo go męczycie niemiłosiernie

Klara (patrząc w ogród.)

On się na seryo w niej zakochał; — patrz wujciu, w jakiej dobrej harmonii — jak jej ręce całuje. A , pan filozof! więc to z takiego stanowiska patrzy na ten stan szanowny. Mój wujciu! trzeba go jeszcze bardziej zakłopotać.

Szambelan.

Czekaj! (wychodzi.)

Pani Erazmowa.

Ależ wy jesteście wielkie swawolnice.

Klara (klaszcze w ręce.)

Patrz, mamo, z jaką miną wujaszek ich prowadzi. (wchodzi szambelan—z jednej strony Feliks—z drugiej Tekla zawstydzona. Klara odwraca się, niby nadąsana — pani Erazmowa także; obie odchodzą do włościan.)

Szambelan.

Panie ekonomie! proszę mieć oko na tę

dziewczynę; wstydź się, taka młoda, a taka zalotna.

Tekla.

E, proszę jegomości, cóż ja winna, kiedy ten panicz, jak mi zaczął gadać: moja miła, jak zaczął po rękach całować...

Szambelan.

A ładnie!

Feliks (odprowadza ojca na przód sceny).

Ależ, mój ojcze!

Szambelan.

Proszę się nie tłomaczyć. Filantropijnemi frazesami nie pozwolę wyprowadzić się w pole. Więc to wasza miłość tego ludu wiejskiego?—najładniejsze jego dziewczęta kochacie!

Feliks.

Moje stanowisko, mój ojcze!

Szambelan.

Jest nieszczególne, mój synu — a moje także. Wprowadziłeś mnie w kłopot, naraziłeś na wstyd przed panną, którą ci naznaczyłem i przed tymi ludźmi, których lekceważysz choć prawisz o ich szczęściu. Powiedzże mi teraz, ak się wywiążesz z danego słowa?

Feliks.

Prosiłem cię, ojcze, zerwij je, bo ja jej nie chcę i gwałtu sobie zrobić nie pozwolę.

Szanuję cię, ojcze i kocham, ale jeżeli w tej mierze wola twoja niecofniona, to będę zmuszony być ci naposłusznym. Minął ten czas, kiedy rodzice tak kojarzyli związki, jak ty, mój ojcze, chciałeś zrobić; kiedy tylko układali i zestosowywali z sobą wioski i interesa, a gdy te przystawały do siebie, nie pytali się o to, czy serce przystanie do serca i myśl z myślą się zgodzi. Co mi tam do tego, że nasz stan jednakowy, nasze imiona szlacheckie, że nasze majątki równe. Dziś już nikt na to nie patrzy. Różnice stanów znikły, a o pieniądze nie dbam. Ja potrzebuję szczęścia, mój ojcze, a nie pieniędzy, a z nią nigdy go nie zaznałbym.

Szambelan.

Ha! jeżeli tak—gwałtu robić ci nie chcę i narażać się na to, abyś mi był nieposłusznym.—Nie możesz się przezwyciężyć?—niech tak będzie, powstydzimy się trochę, ale wytłomaczymy.

Feliks (uradowany całuje jego rękę.)

Dziekuję ci, mój ojcze!

Szambelan.

Więcej ci powiem, żeby cię przekonać, że i mnie chodziło zawsze i idzie o twoje szczęście tylko, że i ja nie patrzę na różnicę sta-

nów i bardziej chcę, aby serce do serca przypadło, niż wioska do wioski, ponieważ uważam, że ci ta śliczna dzieweczka tak bardzo się spodobała, iż przekonany jestem, że cię i miłość skłania i filozofia upoważnia...

Feliks (zmieszany.)

Jak to? jak to? o kimże to chcesz mówić ojcze?

Szambelan.

Jużci o tej pięknej Rózi, za którą dziś po wsi cały ranek biegałeś, z którą tu ciągle szeptałeś, którą ciągle całowałeś po rękach i której róża wygląda ci z za kamizelki. — Ponieważ ją tak bardzo kochasz, żeń się.

Feliks (odskakuje.)

Ależ, kochany ojcze! to znowu co innego tak dalece... przyznam ci się... (na stronie) A to wlazłem władną kabałę.

Szambelan.

Jakto, co innego? ja tu nic innego nie widzę, tylko zgodność myśli, wspólne przywiązanie, przystawanie serca do serca.

Feliks.

Tak, to prawda... ależ, mój ojcze! chłopka bez wykształcenia.

Szambelan.

Chłopka? a dopókiż dać się będziemy, odróżniać, jak gdybyśmy byli coś lepszego, i pomiatać tym szanownym stanem?

Feliks.

Tak jest, tak, mój ojcze! ależ znowu z tak absolutnego stanowiska...

Szambelan.

A więc to panicz ze stanowiska rozpusty patrzał na to piękne i niewinne stworzenie? Więc chciało się ją zbałamucić, nieszczęśliwą zrobić, użyć jako narzędzie swawoli? O, nie, panie filozofie! ja nie rozprawiam tak, jak wy ale nie pozwolę na taki niemoralny postępek i nie dopuszczę krzywdy tych ludzi, których gruntownie szanuję i z serca kocham. Podobała ci się — żeń się — narobiłeś jej wstydu w obliczu wsi całej, nagrodź jej to swoją ręką, swojem imieniem; ja nie myślę odpowiadać za ciebie przed tymi ludźmi. Nawarzyliście piwa swemi perorami; ja go pić nie chcę. Obróć się, obacz co to za miny. **(chłopi ugrupowani przybliżyli się.)**

Feliks (na stronie.)

To sobie narobiłem! będę gadką całej Warszawy! **(głośno)** Ależ to w żaden sposób być nie może, mój ojcze!

Szambelan.

A ja cię przekonam, że będzie. **(do Klary)** Pani dobrodziejko! Odrzuciłaś pani jego rękę, teraz widzę, że miałaś zupełną słuszność. Lecz wróć mu pani swój szacunek; skompromitował on wprawdzie i zawstydził wobec całej wioski tę niewinną dziewczynę, ale chce jej to wynagrodzić.

Feliks.

Ależ, mój ojcze!

Klara.

Chce się z nią zapewne ożenić?

Szambelan.

Tak jest, pani droga.

Klara.

Otóż to jest moralnie i filozoficznie. Teraz mi pan dałeś dowód, że nie mową tylko, ale i czynem chcesz się zespolić z tym poczciwym ludem, który na nas pracuje, a któremu jesteśmy braćmi, równie, duszą, jak i ciałem. **(podaje mu rękę)** Teraz zgoda między nami—chodź tu, Róziu! **(Tekla przystępuje.)**

Feliks (na stronie).

Jak tu, u djabła, wybrnąć z tej biedy?— nie pojmuję, co się ojcu stało.

Szambelan.

Czy ten panicz mówił, że cię kocha?

Tekla (spuszczając oczy.)

A jużci, proszę jegomości, mówił i nie raz, i wczoraj jakem przyszła do onego malunku i pani nie zastała, i dziś—ba—jeszcze mówił, żem miła, droga i najmilsza.

Szambelan.

A on — podobał że się tobie?

Tekla (spoglądając na Feliska.)

E, jakbyć się nie podobał? albo to jabym z nim gadała i pozwoliła, żeby mnie po rękach całował, żeby się nie spodobał?

Klara.

To pan ją w rękę całowałeś Otóż to filooficznie — otóż to zrównanie stanów.

Feliks (na stronie.)

Niechże to djabli wezmą, jak mnie wplątali.

Szambelan.

Ponieważ tedy tak kochacie się wzajemnie, to ja pozwalam memu synowi żenić się z tobą. — Wszakże sprawiedliwie robię, dobrzy ludzie?

Wojtek.

A jużci proszę jaśnie wielmożnego pana, tak się należy. Dziewczynie byłby wstyd i zginęłaby dziewką.

Szambelan.

A ty, Róziu, chcesz go za męża?

Tekla.

E, ja nie wiem.

Szambelan.

Jakto, nie wiesz?

Tekla.

Jabym może i chciała, kiedy nie śmiem powiedzieć.

Klara.

Chcesz, Róziu, chcesz, ja wiem.

Feliks (porywając się.)

Mój ojcze! dosyć tych komedyi — nie pojmuję, dlaczego jestem tu przedmiotem jakiegoś żartu. Żegnam państwo. (chce iść.)

Szambelan (zatrzymuje go.)

Stój! więc nie chcesz i tej?

Feliks (z mocą.)

Nie chcę — nie chcę — głupstwo zrobiłem, to prawda. Ładne dziewczę — podobało mi się, to prawda — i wstydzę się, że nie u-

miałem się pokonać i nie ukryłem tego. Ale proszę cię, ojcze, proszę państwa przestać na tem wyznaniu, które mnie dosyć upokarza.

Tekla (przystępując do niego.)

A widzisz jegomość, ja mówiłam, że to się na nic nie zda, że jegomość łgał, kiej mówił, że mnie bardzo kocha; że jegomość będziesz sobie potem zemnie biednej żartował jak ja powiem jegomości, że także kocham. **(z płaczem)** A teraz mnie jegomość nie chce, to weśże sobie jegomość swój podarunek, coś mi go dał; ja jegomości także nie chcę. **(daje mu jego własny pierścionek)** A przypatrz się jegomość dobrze, że ten sam.

Feliks (bierze i przypatruje się.)

Co to jest? to nie ten!—To mój pierścionek, który posłałem pannie Tekli — ojcze! O mój Boże! gdyby to była prawda! **(bierze jej rękę)** Ta rączka taka delikatna, te rysy, to wejrzenie takie słodkie i tak pełne rozumu. Śmiejecie się państwo? Ojcze! łza radości w twojem oku? O! to jest panna Tekla!

Tekla (pokazuje mu pierścień.)

A to pierścień dany Rózi, panie Feliksie.

Feliks (na kolanach.)

O, pani moja, gdybyś wiedziała, jak jestem szczęśliwym.

Szambelan.

Więc teraz chcesz?

Feliks (zrywa się i całuje rękę Tekli.)

Chcę, chcę wszystkiemi siłami duszy, a ty, pani? — o powiedz!

Tekla (ze słodkiem wejrzeniem.)

Albo Rózia nie powiedziała?

Feliks (ściska ojca.)

O, mój ojcze! jakżem ci wdzięczny! Ciociu droga! Ale któż jest ta? O! to pewnie Klara.

Klara.

Z jakiego stanowiska patrzysz tera na mnie, braciszku?

Feliks (ściska ją.)

Ze stanowiska szczęścia, swawolnico! za które wam wszystkim dziękuję — i tobie, ojcze! i tobie, ciociu! i wam, dobrzy ludzie, żeście milczeli. — O, moja droga pani! pozwól im jeszcze potańcować! Do dnia, do dnia! moje dzieci! i ja z wami, ale nie tak. **(biegnie**

na bok, zrzuca frak, bierze od jednego chłopaka sukmanę, nakłada czapkę i tak przyskakuje do Tekli). Teraz my para — tak, moi ludzie, co roku obchodzić będziemy okrężne — dalej! stawajcie! — A ty, żydzie, graj.

Szambelan.

Do mazura, dzieci!

Wszyscy.

Wiwat! (muzyka zaczyna grać — stają do mazura — powszechna radość — zasłona spada.)

KONIEC.

KI

ch,
ych

szel-

tów
.

nych

CAGO